

## JUDASZOWE SREBRNIKI

POWIEŚĆ

OSNUTA NA TLE WYCHODZTWA.

Aleksandra M. Jawornickiego.

(Ciąg dalszy.)

Marcin mówił prędko z gorączką jakąś w głosie, Arnold mu przerwał.

— Zkądże ja ci wezmę pracy, człowieku!

Wam się wszystkim w starym kraju zdaje,

że tu w Ameryce dolary z nieba nam spa-

dają. Nie ma dnia jednego, żeby trzech,

czterech takich jak ty nie zgłaszało się do

mnie o pomoc. Jakąż ja jednak mogę dać

pomoc! Morduję się tylko od świtu do nocy

z chłopakami co kradną mnie, z klientami

co nie płacą rachunków; ledwie wyżyć mogę.

Idź dalej na zachód—oto jedyna moja rada.

Abyś jednak nie powiedział, że jestem nie-

wdzięczny, na co mnie stać—służę być...

i, mówiąc to, zapuścił rękę w kieszeń od

spodni, szukał czegoś długo, nareszcie wycią-

gnął sztukę dwudziesto-pięciocentową i chciał

wetknąć w rękę gościowi.

Po wychudłej twarzy Marcina płomień

przeleciał, cofnął szybko rękę i pieniądze z

brzękiem upadł na podłogę.

— Piotrze, rzekł głosem, w którym drgał

ból i oburzenie. Cóżem ci zawinił, że się w

ten sposób mi wypłacasz! Nie po jałmużnę

przyszedłem do ciebie.

Rzuciwszy te słowa, powstał, z wysiłkiem

podniósł tłumoczek, zarzucił go sobie na plecy

i w milczeniu począł rzemień zapinać. Ar-

nold podniósł się także. Pierwszy raz w ży-

ciu nie był z siebie kontent, chciał jakąś

sprawę naprawić.

— Przenocuj u mnie, gdzie po nocy pój-

dziesz!

Marcin potrząsnął głową.

— Lato, noc ciepła, wilków prawdopodobnie

teraz nie ma; choć na polu znajduję gdzie

nocleg, a nie będę nikomu ciężarem.

Na twarzy Arnolda odbiło się jakieś wa-

hanie. Zrobił gest ręką, jakby chciał odcho-

dzącego zatrzymać; zabierał się coś rzec,

otwierał już usta; obawa jednak, czy inna

jakąś przyczyna wepchnęła mu słowa cisnące

się na wargi nazad do gardła. Gość tym-

czasem uporawszy się z tłumoczką, spróbo-

wał jeszcze czy dobrze mu siedzi na plecach,

poczem wziął kij do ręki.

— No, bądź zdrow, Piotrze, rzekł, Dora-

baj się majątku i idź dalej tą drogą. Nie

prędko się chyba teraz zobaczmy.

Arnold zrobił nagły wysiłek.

— Czekał, jeszcze jedno słowo, rzekł stu-

niomym głosem.

Marcin, trzymając już rękę na klamce, na-

pół odwrócił się odedrzwia.

— Chciałem się o coś jeszcze zapytać...

— O coż to?

— Czy dawno widziałeś matkę?

— Myślałem żeś i o niej także zapomniał

rzekł Marcin z gorzkim uśmiechem. No, po-

myliłem się. Nie jesteś jeszcze takim gał-

ganem za jakiego cię miałem.

Twarz grocownika gorącym oblała się ru-

mieńcem.

— Co się z matką dzieje? powtórzył nie-

cierpliwie pytanie.

— Zmarła w nędzy, na barłogu, nie da-

lej jak rok temu.

— Brat Józef?

— Siedzi w więzieniu za kradzież.

— Kazimierz?

— Spadł z rusztowania, podając cegły

murarzem; zabił się.

— Paweł?

— Jak trzeźwy, furmani w browarze; w

domu nędza, dzieci sześciorgo, żona sparaliżo-

wana.

— A Zosia?

Twarz Marcina śmiertelną powlekła się

bladocią.

— Ty lepiej powinienes wiedzieć co się z

nią stało, szepnął, miałeś przecie nad nią

opiekę.

— Nie dręcz mnie; mów co się z Zosią

stało?...

Marcin gtucho się roześmiał.

— Zosia jest wielką teraz panią... Jeż-

dzi własnym powozem... Ot, nie pytaj mnie

o nią lepiej.

Głowa Arnolda jak pod uderzeniem obu-

cha opadła mu na piersi.

Zaległo głuche milczenie.

Gdy po chwili podniósł wzrok w pokoju

nie było już nikogo. Chwiejąc się jak pi-

jany, postąpił do biurka, osunął się na krze-

sło i ukrył twarz w dłoniach.

## VI.

Konieczny z tego względu aby czytelnik początek i koniec powieści zrozumiał.

Niemowlece lata pana Arnolda w umyśle

jego żadnych wspomnień nie pozostawiły po

sobie. A ponieważ jest więcej jak prawdopo-

dobnem, że i w pamięci współczesnych mu

niczem godnem uwagi również nie zazna-

czyły się, przeto nie chcąc własnych domy-

słów ubierać w pozory prawdy, jak to wielu

historyków czyni, opisując dzieje bajeczne

jakiego narodu, przejdziemy do czasów pew-

niejszych, gdy bohater nasz począł zdawać

sobie sprawę z otaczających go osób i rzeczy.

Z tej epoki życia swego doskonale zapami-

ętał duży, o niskim suficie pokój, wykle-

jony złotem, dostatecznie wysmolonem ob-

iciem, na którym krzyżujące się medaliony

przedstawiały niezmiernie ciekawe sceny z

życia i przygód Robinsona Kruzoe na bezlu-

dnej wyspie. Jeśli dla każdego badawczego

umysłu prawdziwą mogło być zagadką, dla

czego ów Robinson Kruzoe występował raz

w czerwonym kolorze z zielonemi kozami pod

ogromnym niebieskim parasolem, a obok za-

raz tenże obywatel prezentował się w zielo-

nym garniturze z czerwonemi kozami i z cze-

koladowego koloru parasolem, nie można się

dziwić, że przemiana tak nagle a niczem

niewytłumaczona w gustach i usposobieniu

człowieka bądź co bądź w statecznym już

wieku, przez długi czas nie mogła się także

w głowie bohatera naszego pomieścić.

Pod ścianami w ten sposób udekorowa-

negu pokoju stało z pół tuzina łóżek i łóże-

czek z wiecznie rozrzuconą pościelą, jakby

po niej uragan przeleciał; dalej stół na

środku w otoczeniu kilku mniej lub wię-

cej radykalnie okulawionych krzesłek a stu-

żących dla całej rzeszy umorusanego dro-

biazgu za przyrządy do nieustających ewi-

czeń gimnastycznych. Na paradnem wreszcie

miejsu, wprost drzwi wchodowych, zajmo-

wała całe pół ściany jedyna przedstawicielka

wątpliwego komfortu, ogromna kanapa. Po-

mimo potłaczanych sprężyn i podartego na

bokach obicia, służyła jednak do wielorakich

użytków. Mocne głębokie jej wychowywały

całe pokolenia myszy, dostarczając zarazem

nieprzebranych zapasów włósia do domowego

wyrobu siatek i potrzasków; wierzchołki słu-

żyły za miejsce stałego pobytu dla młodej

jeszcze kobiety, matki naszego bohatera.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

w berlacze brunatne na no-

gach.

Grabarz coraz bardziej był

zdziwiony, wpoił w sędziego

oczy pełne nieopisanej grozy

i przestachu. Sędzia dalej

mówił spokojnie, wyraźnie

wybijając akcent na każdej

zgłosce, tonem na pół cichym,

jednostajnym, jak dźwięk kro-

pki wody na kamień spada-

jących.

— A kobieta ubraną była

w długą suknię i szal kaszmi-

rowy w kraty delikatne. Otóż

ciś dwoje stali na szosy. Ofiara

szła od miasta i wy rzucili-

cie się ku niej, na miejscu

gdzie schodzą się dwie drogi.

Czychaliście na tę krew nie-

winną jak dzikie zwierzęta.

Grabarz milczał blady i o-

czy spuszczał co chwila na

ziemię — acz teraz, od czasu

do czasu uśmiechał się szy-

dersko.

— Lecz wyrwał się z rąk

waszych i cofał tyłem po śnie-

gu, ku murowi cementarnemu.

Nie mogąc mu nic zrobić od

przodu, bo się bronił dziel-

nie i uciekał szybko — ty,

niekzemu obszedłeś go z

loku i uderzyłeś w tył głowy

obuchem od toporu.

Teraz grabarz znów miał

wyraz grozy, uśmiech mu znikł

z twarzy — a oczy świeciły

niezwyčajnym blaskiem. Po

chili jednak ocknął się, przy-

szedł do siebie i patrzył jak

dawniej spokojnie i szydersko

na sędziego.

Nie było co z nim robić,

sędzia kazał go odprowadzić

do więzienia. Nic więcej nie

dowiedział się, śledztwo stało

na tym symym punkcie co

wczoraj.

Po wyjściu grabarza sędzia

wpadł znowu w zadumę. Drżał

na całym ciele, bladł i czer-

wieniał co chila. Tę czoło

i był strasznie wzburzony,

chwijny jakiś. Dano mu

znać, że przybył kapitan zan-

darmery i chce się z nim wi-

dzieć.

Przeszedł do archiwum i

kazał go prosić. Idąc chwiał

się jak pijany i co chwila

ręką wspierał o ścianę. Czuł

w głębi duszy, że ta olbrzy-

mia siła którą wyrobił w so-

bie przez noc, poczynna się

łamać, że słabiej. Lękał się

by nie upadł, nie runął...

by nie popełniła ta zbroja

żelazna, ten pancerz który

ukuł nocą, wśród ciszy i mę-

czarni niezmiernych. Ale nie,

otrząsł się, opanował i był

znowu silny. Miał on w sobie

hart olbrzymi, co z rzymskich

bohaterów, ten cichy, niezna-

ny, małomiasteczkowy sędzia.

Zgnieść uczucie serdeczne, je-

dyne, dla prawa; poświęcić

to, co jest wspaniałą rzeczy-

wiistością, okrasą serca i życia,

dla fikcji brutalnej i sofisty-

cznej, jaką jest wszelkie pra-

wo — czyż to nie jest rzeczą

olbrzymią?...

Stanął w archiwum blady

ale silny. Miał nawet uśmiech

na ustach, uśmiech dobrotliwy

i pobłażający.

— Dzień dobry kapitanie,

— cóż nam powiesz?

— Wypełniłem żądanie wa-

szsze panie sędzio, aresztowałem

pannę Maryę Z....

Gdy to żandarm mówił, u-

sta mu drżały i głos drżał, a

cały był wzburzony. Sę-

dzia pobladł jeszcze bardziej,

wargi z czerwonych stały się

sine, przez chwilę zdawało

się, że nie wytrzyma, tak się

chwiał cały, ale ten mocarz

olbrzymi znów zgłodził i opa-

nował wszystko w sobie.

— To dobrze kapitanie, rzekł

spokojnie, spisales zapewne

protokół rewizji i aresztowa-

nia i złożysz mi go.

— A jest, proszę pana.

Sędzia usiadł, wziął proto-

kół i począł go czytać tak,

że całkiem sobie twarz zasło-

nił. Kapitan zauważył, że

papier niezwykle drżał w ręk-

kach s